



BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

WYDZIAŁ FIZYKI
KATEDRA MECHANIKI
POLITECHNIKA WARSZAWSKA

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 179.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE
NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1885.

Tom trzeci.

lipiec.

WARSZAWA.
W Drukarni Józefa Bergera,
ulica Elektorska, Nr. 14.

1885.

MICKIEWICZ I ANKWICZÓWNA.

(Pierwszy pobyt Mickiewicza we Włoszech. 1829—1830).

NAPISAŁ

Dr. Teofil Ziemia *).

I.

Od wieków wdychali wszyscy poeci ku czarującym Włochom. Niejeden z nich, skoro je ujrzał, zachwycał się niemi tak samo, jak jeszcze w XVI wieku nasz Klemens Janicki:

Niebo pod jasnym lazuru ubraniem,
A żadna chmurka nie błąka się na niem,
Ni żadne grady, ni żadne zamiecie...
Nie wiedzą ludzie o zimowej porze,
W koło zieloność i nadobne kwiecie,
Cały rok pytasz: „wiosnaż to na dworze“.

Tam z naszych późniejszych poetów dążyli z kolei tacy, jak Jan i Piotr Kochanowscy, Sarbiewski, Krasicki, Niemcewicz, Malczewski i tylu innych. Każdy z nich poznanie ojczyzny Dantego i Petrarcki uważał za jeden z najważniejszych w swém życiu wypadków.

Podobnie i dla zagranicznych poetów były i są Włochy dotąd jeszcze marzeniem. Wiadomo przecież, czém dla Goethego była podróż do téj krainy:

Gdzie cytryna dojrzewa,
Pomarańcz blask
Zielone złoci drzewa,
Gdzie wieńcem błyszcz
Ruiny dawne stroi,
Gdzie buja laur
I cyprys cicho stoi...

*) Zob. r. 1884 Zesz. za m. październik, str. 37.

Takie same uczucia i nadzieje tych samych wrażeń odezwały się niewątpliwie i w duszy Mickiewicza, gdy po noclegu na Splügen t. j. dnia 25 września 1829 roku przekroczył wraz z Odyńcem¹ granicę włoską.

Ale cóż, kiedy to były dopiero Włochy północne, a nadto słotna pora jesienna, dokuczliwa bardzo w tamtejszych stronach, zmuszała ich do pospiechu w podróży.

I trzebaż było, żeby na samym wstępie do krainy pomarańcz i cyprysów doznali najprzykrzejszej przeprawy w całej podróży. Z powodu bowiem wezbrania rzeczki Liro, droga tak bardzo została uszkodzoną, że w żaden sposób nie można było nią dalej jechać, a nawet aby ją pieszo przebyć, potrzeba było wielkiego trudu i niepospolitej odwagi. Podróźni nasi mimo to obrali tę ostateczność, a idąc przez całe cztery godziny wśród mgły i nieustannego deszczu, dotarli nareszcie do miasteczka Chiavenny.

Zatrzymawszy się tu dla spoczynku i noclegu, i osuszywszy odzież przy ogniu na kominku, wyruszyli nazajutrz do Como, a 27 września stanęli już w Medyolanie.

Dla poznania miasta i jego wspaniałych budowli zabawili tu cokolwiek dłużej, w skutek czego dopiero 3 października zamierzili się wybrać w dalszą drogę do Werony.

Wyszukawszy w tym celu zwyczajną we Włoszech „wetturę“, czyli powóz zawsze do wynajęcia gotowy, znaleźli oraz poeci nasi nad spodziewanie miłych towarzyszków podróży.

Między tymi jednakże zwracała szczególniej uwagę jakaś signora młoda i kształtna, która siedziała naprzeciw Mickiewicza.

Mimowoli zatem spotykały się nieraz ich oczy, bo wiadomo, że i u poety naszego były one piękne i pełne wyrazu zadumy, a i u „signory“ z pod czarnego medyolańskiego weloniku, rzuconego z lekka na jej głowę, wyzierały ciekawe jak dwa palące węgle...

Było więc podobnie jak w „Panu Tadeuszu“

. . . . że cztery źrenice

Błyszczały przeciw sobie, jak rotatne świece...

Jak zwyczajnie w podróży, szybko zawiązała się znajomość.

Poeci nasi dowiedzieli się wkrótce, że piękna signora zwie się Rachela, i że celem jej podróży jest Wenecya. Ale wszystkie inne szczegóły dotyczące téj damy pozostały dla nich tajemnicą.

Ze sposobu zachowania się jej, z teatralnej cokolwiek deklamacji, a wreszcie z dokładniejszej znajomości literatury dramatycznej, domyślali się, że jest... aktorką.

Gdy zaś Odyńiec zajęty był rozmową z jakimś 50-letnim „typem gadatliwej kumoszki“, Mickiewicz tymczasem rozprawił coraz żywiej ze swoją nowo poznaną — nieznaną...

I na pytanie jej:

...Odpowiadał śmielój, szła rzecz dalej,
W pół godziny już byli z sobą poufali,
Zaczęto nawet małe żarciki i sprzeczki...

Zupełnie tak, jak pan Tadeusz z panią Telimeną, do której wizerunku — jak się domyślamy — signora Rachelą dostarczyć mogła nieje-
dnego rysu.

Tymczasem po noclegu w Treviglio, przyjechali nasi podróżni do Werony, leżącej w połowie drogi z Medyolanu do Wenecyi.

Obejrawszy osobliwości miasta, a między temi i mniemany grób Julii Capuletto, stanęli 5 października w mieście Vicenza, a następnego dnia byli już w Padwie.

Nareszcie 7 października przybyli do Wenecyi, gdzie, zamierzając zabawić dłużej najęli dla oszczędności prywatne pomieszkanie (Ponte dei Dai, Torre Corrente, al moro).

Aż do 20 października, zatem blisko dwa tygodnie pozostali w Wenecyi, zwiedzając galerie, kościoły i wszystkie słynne piękności tego miasta, przyczem signora Rachelą, zamieszkawszy u jakiejś wdowy po adwokacie, nie odmawiała im często swojego towarzysza.

Mickiewicz, który jak wiadomo, sam zawsze źle gospodarzył swemi pieniędzmi i z tego powodu rad był, że od chwili połączenia się z Odyńcem, nie potrzebował o tem myśleć, brał od towarzysza swego w ciągu podróży zwykle niewiele dla opędzenia tylko najdrobniejszych, a często nieprzewidzianych potrzeb.

Ale w Wenecyi, być może, że z powodu poznania signory Racheli, te „drobiazgowo“ wydatki jego zaczęły się coraz bardziej powiększać, tak, że Odyniec razu pewnego nawet stosowną uczynił mu uwagę.

— Proszę mi oddać moje pieniądze, odpowiedział krótko Mickiewicz — choć później po rzeczy dokonanej, wypadło mu tego pożłować.

II.

Tymczasem zbliżał się dzień wyjazdu z Wenecyi.

Dnia 20 października (1829) nad brzegiem Kanału Wielkiego (Canale Grande) wsiadali nasi podróżni do gondoli, którą aż do Mestre mieli popłynąć. W gronie kilku osób, żegnających się z nimi, była i signora, która według pięknych słów Odyńca „otulona czarną mantylą i czarnym woalem zakryta — była jakby uosobieniem czarnej chwili rozstania.“ Tymczasem uniosła już gondola młodych naszych poetów, którzy nie w bardzo wesołym byli usposobieniu. Mickiewicz zwłaszcza był widocznie nie w najlepszym humorze, a nadto skarżył się na ból zębów, które mu w ogólności dość często dawały się we znaki. Najawszy „wetturę,“ puścili się drogą ku Bolonii, zatrzymując się jeszcze dla noclegów w Padwie i następnego dnia (21 paźdz.)

w Santa Maria-Maddalena niedaleko Ferrary. Następnie, jadąc przez Ferrarę, przybyli poeci nasi w nocy dnia 22 października do Bolonii, gdzie stanęli „pod czarnym orłem“ (Aquila Nera). Trzy dni zabawili w tém mieście dla zwiedzenia jego zabytków i poznania słynnego polygloty, późniejszego kardynała Mezzofanti, mówiącego pięćdziesięciu rozmaitemi językami, a między temi i po polsku.

Ale niestety nie zastali go w domu, a i on, chcąc oddać im wizytę, był w hotelu właśnie w czasie ich nieobecności. Dnia 26 października w towarzystwie znanego malarza angielskiego Allan'a, ruszyli w drogę dalszą i już 27-go przybyli do Florencyi, zajechawszy do hotelu (San Luigi). Tu znowu, podobnie jak w Wenecyi, postanowili kilkanaście dni pozostać i dlatego najęli tańsze pomieszkanie w domu prywatnym. (Canto alle rondini, Nr. 7000, ulica Pianellai). Nim jednakże przenieśli się do tego miejsca, zdarzył się wypadek, który zapewne mógł pobudzić Mickiewicza do żalu, że w Wenecyi odebrał swe pieniądze od Odyńca.

Włożywszy je bowiem do woreczka, ofiarowanego mu jeszcze w Petersburgu na pamiątkę przez córki pani Szymanowskiej, nosił je zrazu dosyć starannie przy sobie, ale nakoniec zostawił raz przez zapomnienie we wspomnianym hotelu. Zdarzyło się tedy, że gdy Odyńiec dnia tego wrócił z miasta do domu, garson, mający klucze od pokoju, wita go, kręcąc znacząco głową i oddając mu pieniądze, zapomniane przez Mickiewicza. Niedługo potem spotkał się pan Edward z Mickiewiczem, pijącym spokojnie kawę w jakiejś kawiarni. Usiadł obok niego — jakby o niczem nie wiedząc, a gdy Mickiewicz już kończył swą filiżankę, zapytał go niby od niechcenia, czy ma drobne pieniądze do zapłacenia. Adam sięgnął do kieszeni i zrazu nic nie odpowiedział. Po chwili jednak oświadczył, że nie ma, i w zamiarze udania się do hotelu, wziął za kapelusz. Już był u progu, gdy go Odyńiec nawrócił i o pieniądze uspokoił. Zapewne wówczas pomyślał sobie poeta, podobnie jak pan Tadeusz w jednym miejscu:

Dobrze! dobrze mi tak!

Potem ucałował w czoło swego przyjaciela, pod którego opieką zostawały już nadal jego finanse. We Florencyi czekało poetów naszych wiele nowych wrażeń i nowych znajomości, a wraz z niemi i wiele chwil przyjemnych. Z listem polecającym od Lelewela, udali się najprzód do ks. Sebastjana Ciampi, który w latach 1818—1822 był profesorem literatury starożytnej w uniwersytecie warszawskim, a później zamieszkał stale we Florencyi, gdzie umarł dopiero w roku 1847. On to wyszukał im niedrogie prywatne pomieszkanie i w ogóle niejedną okazał grzeczność. Być także może, że od niego dowiedzieli się o księciu Michale Ogińskim, mieszkającym wówczas we Florencyi, którego nie omieszkali odwiedzić. Książę, autor znanych „Pamiętników“, zapraszał ich odtąd ciągle do siebie, a przytém niepospolitym darem opowiadania o dawnych czasach, szczególniejszy

urok wywierał, zwłaszcza na Mickiewiczu, który dar ten cenił zawsze wysoko.

Wkrótce potem złożyli wizytę ówczesnemu ambasadorowi rosyjskiemu, księciu Gorczakowowi, sławnemu później ministrowi, który, według słów Odyńca, był wtedy „dziwnie pięknym młodym mężczyzną.“ Książę Gorczakow przyjął poetów naszych bardzo uprzejmie i obiecał poznać ich z najpierwszym towarzystwem we Florencyi, dając im bilety na mający się wkrótce odbyć bal u księcia Bacciocchi, szwagra Napoleona I-go. Tu spotkali się nasi poeci i z księciem Władysławem Sanguszko, który był na tym wieczorze ze swoją żoną, z domu księżniczką Lubomirską, a wtedy niezaprzeczoną „królową balu.“ Widok tej piękności, która z postaci podobną była do Dyany, a z twarzy do Charyty lub Anioła Canowy, napawał dumą serca naszych podróżnych, cieszących się z tryumfu swjej rodaczki. Tak więc z jednej strony na wizytach i wieczorach, z drugiej na zwiedzaniu galerii, muzeów i kościołów, szybko upłynęło kilkanaście dni spędzonych we Florencyi. Już prawie trzeci od przyjazdu upływał tydzień, gdy dnia 14 października wybrali się nasi podróżni w dalszą drogę. Tego samego dnia malarza przybyli do Poggibonsi i to znowu w towarzystwie znanego już nam malarza angielskiego Allana. Mickiewicz, który w czasie podróży był mało mówny i zadumany, i w czasie obiadu niewiele do rozmowy okazywał ochoty. Jak niedawno na Splügen, tak i teraz jakaś myśl pracowała w głębinach jego ducha. I w rzeczy samej, niedługo potem, wyprowadziwszy Odyńca do przyległego ogródka, usiadł z nim na płotku i wydobyl papier zaopatrzony piśmem czystym, bez żadnych prawie poprawek, jakby wprost na czysto wykonanym. Był to wiersz ogłoszony później pod napisem: „Do Matki Polki.“ Autor sam odczytał go z głębokim wzruszeniem swojemu przyjacielowi, dodając zarazem, że genezę tego wiersza miały być pamiętniki księcia Ogińskiego i rozmowy z nim we Florencyi. Było to jeszcze przed rokiem 1830 ¹⁾, a już wówczas przeczuwał poeta niedalekie wypadki i niestety, jasnowidzącym swym duchem, nie wróżył im szczęśliwego obrotu.

Po noclegu w Poggibonsi, jechali nasi poeci jeszcze przeszło półtrzecia dnia, zanim po Siennie (15 listop.), San Lorenzo (16 listop.), stanęli 17 listopada na noc w miasteczku Ronciglione. W następnym dniu mieli już ujrzeć mury „wiecznego miasta.“ Na wniosek Mickiewicza miało się to odbyć w świątecznym ubraniu — „jak do kościoła!“...

¹⁾ Wojciech Cybulski mówi także, że jeszcze przed wybuchem powstania poznał ten wiersz za pośrednictwem Odyńca, a nawet wyuczył się go na pamięć („Odczyty o poezji polskiej“ str. 169, t. II). Opowiadanie Lenartowicza w „Listach o Adamie Mickiewiczu“ (Paryż 1875) zasługuje na uwagę, ale jako dopiero w r. 1874 pisane, ustępuje świadectwom dawniejszym.

W istocie téż nazajutrz t. j. 18 listopada (1829) w świątecznych szatach, z bijącym sercem i uroczystym nastrojem zbliżali się ku Rzymowi. Gdy naraz spostrzegli kopułę św. Piotra, odkrył Mickiewicz głowę i kazał swemu towarzyszowi uczynić to samo—przed tą, jak się wyraził „tyarą świata.“ Niedługo potem wysiedli i chociaż był jeszcze dobry kawałek drogi do miasta, postanowili odbyć go piechotą, podczas gdy wetturyn jechał z wolna przed nimi.

Gdy stanęli na moście Ponte Milvio, Odyniec dobył manierki, zaczerpnął wody z Tybru i obaj poeci spełnili toast na cześć Wilii i Niemna. Nareszcie o godzinie kwadrans na piątą po południu stanęli na Piazza del Popolo i poszli zaraz do najbliższego kościoła, aby za to „podziękować Panu Bogu.“

Wówczas to może przed oczyma duszy Mickiewicza stanęła jego „płacząca matka,“ jak w owej chwili, gdy na wjeździe do Wilna w roku 1815, spełniając jój polecenie, klęczał przed ołtarzem

Panny świętej, co Jasnej broni Częstochowy
I w Ostrój świeci Bramie! i co gród zamkowy
Nowogródzki ochrania z jego wiernym ludem...

III.

Wyszedłszy z kościoła, postępowali nasi podróżni za jadącą na przód wetturą, szukając dla siebie pomieszkania. Błądząc w ten sposób, znaleźli je dopiero po dwóch godzinach w Albergo di Europa przy ulicy Corso. Zaraz nazajutrz rozpoczęli zwiedzać pomniki wiecznego miasta. Starożytna Roma w postaci Kapitolu i Rzym nowoczesny w postaci Watykanu—jako dwa wymowne przeciwieństwa, stanęły najprzód przed oczyma ich wyobraźni, a skutkiem tego wraz z malarzem Allaniem wybrali się najprzód na Kapitol. Zmówiwszy pacierz w kościele Ara coeli, stojącym na miejscu dawnej świątyni Jowisza, oglądali skałę tarpejską i zachwycali się pięknym posągami Marka Aureliusza. Mickiewicz szczególniej przypatrywał się z wielką uwagą téj wspaniałej postaci, którą później tak wybornie opisał. Wyraz spokoju w całej postaci i łagodności w obliczu cesarza-filozofa głęboko utkwiał wówczas w jego pamięci, jak widać z opisu skreślonego po kilku latach:

Piękne, szlachetne, łagodne ma czoło,
Na ozole bliższy myśl o szczęściu państwa;
Rękę poważnie wznosił, jak gdyby wkoło
Miał błogosławić tłum swego poddaństwa;
A drugą rękę opuścił na wodze,
Rumaka swego zapędy ukraca.
Zgadniesz, że mnogi lud tam stał na drodze
I krzyczał: Cesarz, ojciec nasz powracal!...

Z Kapitolu poszli nasi poeci do Watykanu, ażeby już w pierwszym dniu złożyć hołd temu wspaniałemu pomnikowi chrześcijańskiego Rzymu. Zwiedzili go tym razem pobieżnie, poczem Mickiewicz wyszukał pomieszkanie księżnej Zeneidy Wołkońskiej, która go natychmiast wraz z Odyńcem zaprosiła na obiad. Odtąd już bywali obaj codziennymi w jej domu gośćmi, co nawet tem dogodniej im było, że wkrótce najeli sobie prywatne pomieszkanie na Via del Orso (Nr. 35), niedaleko pałacu Feruzzi, w którym mieszkała księżna. Ona-to w swęj niewyczerpanej dla poetów naszych uprzejmości, obwoziła ich prawie codzień w południe po osobliwościach miasta, poczem zabierała do siebie na obiady, a wieczorem najczęściej do łoży swęj w teatrze. W ten sposób już w przeciągu pierwszych dziesięciu dni zwiedzili nasi poeci najważniejsze zabytki Rzymu, które bądź starożytnością swoją, bądź ogromem żywo przemawiać mogły do wyobraźni. Mickiewicz wobec tych wielkich pamiątek dawnych czasów zarówno, jak wobec pomników sztuki bywał milczący, skupiony w sobie i głęboko zadumany. Z tego powodu w niektórych miejscach jak np. w Collosseum, gdzie silniejszego doznawał wrażenia, lubił być sam jeden, aby tem swobodniej oddawać się dumaniu. Do takich ulubionych miejsc które wraz z Odyńcem często odwiedzał, należały także ruiny starożytnej świątyni Minerwy. Nietyle wszakże pociągały go tam klasyczne kolumny, jak raczej najzwyczajniejszy kawałek zielonego pola, które mu przypominało ukochaną ojczyznę. Przerzynała je bowiem droga, jakich wiele spotyka się po wsiach litewskich, utworzona przez wózki jednokonne ze ścieżką wydeptaną przez konia i dwoma pasami zielonej trawy, leżącemi między nią, a wyżłobionemi przez wozy kolejami. Mickiewicz, ile razy przychodził w to miejsce, kładł się swobodnie na murawie, a sięgając myślą w strony ojczyste, stawał się weselszym i rozmowniejszym. Kto wie nawet, czy kiedy tak się nie zdarzyło, że tego samego dnia, w którym zachwycał się pierwotną prostotą tego miejsca, wypadało mu wieczorem deptać po najpyszniejszych kobiercach w salonie królowej Hortensyi, patrzeć z bliska na tego króla westfalskiego, Hieronima Bonaparte, na którego nigdyś w Nowogródku spoglądał z ukrycia z najwyższym podziwieniem, a nadto słyszeć, jak Odyniec, nie świadomy jego godności, w rozmowie z nim tytułuje go tak zwykłym jak francuzki monsieur wyrazem. Zaszczyt bywania na zwykłych wtorkowych przyjęciach w salonie królowej zawdzięczali poeci znowu nieocenionej księżnie Zeneidzie, za której pośrednictwem w ogóle najświetniejsze pozawiazywali znajomości. Salon bowiem księżnej był szczególnie ogniskiem najwyższych sfer towarzysstwa rosyjskiego, które wówczas miało w Rzymie przedstawicieli takich rodzin, jak księstwo Galicynowie, Gagarynowie, Dietrichsteinowie, nie mówiąc już o zamożnych rodzinach Klustinów, Siemionów i kilku innych. Wszystkie wymienione domy otaczały wysoką czią naszego poetę, który też w otoczeniu ich zachowywał wielką godność osobistą i pewną powagę, jaką przybierał rzadko w gronie swoich ro-

daków. Ambasador rosyjski, książę Gagaryn, któremu poeci nasi złożyli wizytę, przyjął ich bardzo grzecznie, a uprzedzony już przez księżnę Zeneidę o znaczeniu Adama, ofiarował mu bibliotekę swą na usługi. Mickiewicz poprosił wówczas o Liwusza woryginałe i o historią rzymską Niebuhr'a. Z szczególniejszym jednak upodobaniem czytał dzieło historyka łacińskiego, o którym pisał w tym czasie do Malewskiego: „...Liwusz tu na miejscu ma dziwny urok, bo wieczór można iść oglądać scenę wypadków czytanych zrana.“ W ogóle, jak niegdys w Moskwie i Petersburgu, tak i teraz była księżna Zeneida prawdziwie opiekuńczym aniołem dla naszego poety. Uwielbienie zaś, jakim ona go otaczała, udzieliło się także i innym damom rosyjskim, bywającym u niej, tak, że odtąd wszystkie zaczęły go otaczać czcią i troskliwością, nieraz do wysokiego stopnia posuniętą. Razu pewnego np., dowiedziawszy się o jego ochrypnięciu, przysłały mu tyle konfitur, cukrów i soków, że największemu tych rzeczy miłośnikowi wystarczyłyby to mogło na czas dość długi. „Nazajutrz—pisze Odyniec—jeszcześmy spali, słyszę pukanie do drzwi. Otwieram, aż to lokaj od księżnej Dietrichstein (z domu Szuwałow) oddaje mi bilecik i jakiś kosz zakryty. Bilecik był od Adama, a w koszu cztery słoje—nie słoiki—konfitur. Ledwie ten odszedł—stuk, stuk, znowu—i wchodzi drugi lokaj od księżnej Galicyn, także z dwoma słoikami konfitur i z tyłuż butelkami malinowego soku, który ma być bardzo pomocny na chrypkę, jak to wyraża zaperfumowany bilecik do pacjenta. Nie upłynęła godzina, aż jak trzeci Budrys z synową, zjawia się trzeci posłaniec od pani Klustin z pudełkiem cukierków i paczką skórki panięńskiej od panny Anastazyi.“

Ale któż to był owa panna Anastazyja de Klustin, do której i od której w korespondencji Mickiewicza znajdują się tak pełne czarującej woni bilety i bileciki?... Była to córka bogatej wdowy, z domu hrabianki Tołstoj, która wraz z matką od kilku lat podróżowała po świecie. Posiadała ona we wszystkich kierunkach tak wysokie wykształcenie, że w kołach znajomych nazywano ją Korynną z nad Donu lub Borystenu, a nawet sam Mickiewicz jeden list do niej, wysłany prywatnie, wyprawił pod adresem: „A mademoiselle Corinne Boristénide.“ Panna Anastazyja, która obok wysokiego wykształcenia, daleką przeciw była od najmniejszego pedantyzmu lub chęci popisywania się swemi wiadomościami, miała szczególniejszą przyjemność w zawieraniu znajomości z ludźmi sławnymi. Z tego powodu oczekiwała téż z upragnieniem owęj chwili, w której na obiedzie u księżnej Zeneidy poznać miała autora „Wallenroda.“ Wrażenie doznane z jednej i drugiej strony było niepospolite. Mickiewicz był ożywiony i zachwycony—tém więcej, że panna Anastazyja miała nie tylko wiele uroku w swęj rozmowie, w całym swém zachowaniu i zjawisku, lecz nadto była wysoce wykształconą w muzyce, i grała jak skończona artystka, a to wszystko robiła jakby tylko od niechcienia i bez najmniejszej rachuby na olśniewający efekt. Słowem, panna Klustin mogła się na-

wet dla naszego poety stać wielce niebezpieczną, gdyby... właśnie niedawno przedtem nie zaszła okoliczność, która z czasem jego myśli i uczucia miała stanowczo w inną stronę skierować.

IV.

Około tego samego czasu, gdy obaj poeci przybyli do wiecznego miasta, bawiono tam już wielu polaków z różnych stron kraju i z różnych sfer towarzyskich.

Byli tam zatem i tacy, jak książę Władysław Sanguszko, który niedawno wraz z żoną przyjechał tu z Florencyi, i książę Wilhelm Radziwiłł i hrabio wie Alfred i Artur Potoccy ze swemi rodzinami i młody wówczas książę Aleksander Czartoryski, podróżujący w towarzystwie uczonego Antoniego Strzeleckiego, później bibliotekarza w Willanowie. Prócz wymienionych byli jeszcze i państwo Węsierscy z księstwa poznańskiego i dawniejsi już Odyńca znajomi państwo Dernałowiczowie z Warszawy. Prócz tego i duchowieństwo polskie miało tam wówczas swoich przedstawicieli, np. takich, jak ks. Scipion z Krakowa, ks. Zajączkowski, Zamojski, lub niedługo potem zmarły Parczewski. Sztukę polską, a zwłaszcza malarstwo reprezentował litwin Karczewski i krakowianin Wojciech Kornel Stattler, którego zajmujące z owych czasów *Przypomnienia* ogłosiły „Kłosa“ w roku 1873.

W ogólności towarzystwo polskie, bawiące w owych latach w Rzymie, było dość liczne, bo według listu Odyńca do Wójcickiego, wynosiło ono przeszło 60 osób.

Gdy tedy młodszy i bezzenni zbierali się najczęściej dla swobodnej rozrywki w pomieszkaniu młodego księcia Aleksandra Czartoryskiego przy placu Hiszpańskim; gdy starsi gromadzili się na wytwornych rautach w pałacu Gregorio, zamieszkiwanym przez hrabiów Alfreda i Artura Potockich — ogniskiem skupiającym wszystkich, był gościnny dom hrabstwa Ankwiczów, przy ulicy Mercede.

Pan Stanisław Habdank Ankwicz, syn kasztelana sandeckiego i niegdyś pełnomocnika polskiego na dworze duńskim, był właścicielem znacznego majątku w Galicyi, gdzie też przemieszkiwał w obwodzie tarnowskim, niedaleko Pilzna, we wsi Machowej. Tu w roku 1812 (29 listopada) urodziła się państwu Ankwiczom córka Ewa Henryetta, którą jako jedynaczkę ukochali nad życie. Ale Ewunia nie cieszyła się zdrowiem najlepszem; z tego powodu troskliwi o nią rodzice wywieźli ją do Włoch, gdzie dla jej wzmocnienia, a oraz i dla edukacji mieszkali przez lat kilka po różnych miastach. Bawili zatem z kolei to w Pizie, to we Florencyi, to nawet na Korsyce, w miarę rad i wskazówek najznakomitszych lekarzy. W końcu roku 1828 przybyli na dłuższy pobyt do Rzymu, gdzie panna Ewa brała lekcyje historii i archeologii od najznakomitszych uczonych, jak np. od sławnego w owym czasie profesora Visconti. Robiła także w muzyce i w je-

zykach wielkie postępy, tylko język i literatura ojczysta pozostawał u niej, jak się to zresztą niestety dość często działo, w pewnym dotychczas zaniedbanu. Ale właśnie w tym czasie usłyszeć miała nazwisko wielkiego polskiego poety. Przyjaciółka bowiem jej matki p. Puszetowa, donosiła w liście swym z Polski o zjawieniu się niepospolitego talentu poetycznego, którego kilka ballad posłała nawet w odpisie w liście do państwa Ankwiczów. Ewunia była niemi zachwyconą i w krótkce umiała je na pamięć. Niedługo potem otrzymała od Strzeleckiego, gubernera księcia Aleksandra Czartoryskiego, całkowi-
te wydanie dzieł Mickiewicza. Przeczytała je z zapałem, a wiele ustępów z „Konrada Wallenroda“ i z „Dziadów“ deklamowała z pamięci, zazdroszcząc w duszy owój Maryli, która tak silne uczucie zdołała rozbudzić w sercu poety. Odtąd już zaczęła Ewunia marzyć o tak gorąco kochającym Gustawie, gdy niespodzianie pewnego razu dowiedziała się, że autor „Dziadów“ jest już w północnych Włoszech i niezdługo zjawi się w Rzymie. Z upragnieniem tedy oczekiwała chwili, w której miała nadzieję go zobaczyć, tém więcéj że w duszy swéj już pierwéj utworzyła sobie jego obraz i była z tego powodu bardzo ciekawą, czy rzeczywistość nie wiele różnić się będzie od owego młodzieńca wysokiego wzrostu, z rozrzuconym na bladym czole włossem, z książkami wyglądającymi z kieszeń długiego, popielatego surduta, w jakim widziała poetę w swéj wyobraźni. Tymczasem ambasador rosyjski, książę Gagaryn, dawał bal 28 listopada roku 1829, na który byli zaproszeni i państwo Ankwiczowie, ale dla niewiadomych przyczyn przybył tylko—sam hrabia. Na balu owym znajdowało się mnóstwo osób znakomych tak fortuną, jak i sławą, zdobytą na polu sztuk i nauk. Między innymi byli tam także nasi dwaj poeci i mieli sposobność zapoznania się z rzeźbiarzem Torwaldsenem, malarzami: Horacym Vernetem, Cammucinim, Overbeckiem i wielu głośnymi wówczas artystami. W ciągu zabawy przystąpił do nich p. Dernałowicz z drugim około 50 lat liczyć mogącym mężczyzną. Był to właśnie hr. Ankwicz, który sam życzył sobie zabrać z nimi znajomość. Poważna jego postać i pełne ujmującej uprzejmości obejście, zrobiły korzystne na poetach wrażenie. A snąc i jemu podobali się odrazu młodzi poeci, bo rozmawiał z nimi dość długo i w końcu zaprosił ich do siebie na wieczór, mający się odbyć nazajutrz z powodu urodzin jego córki. Gdy zaś wrócił do domu i oświadczył swym paniom, że poznał się z Mickiewiczem i że go wraz z Odyńcem zaprosił na wieczór jutrzejszy, powstała ztąd wielka radość i większe jeszcze oczekiwanie — w duszy marzącej panny Ewy.

V.

Następnego wieczoru rześiste biło światło z okien mieszkania państwa Ankwiczów, przy ulicy Mercede. Ale tym razem nie znajdował się tam Mickiewicz, zatrzymany w domu z powodu silnego bó-

lu zębów. Na wieczorze zjawił się zatem tylko jego przyjaciel Odyniec, który zaraz na wstępie zrobił to spostrzeżenie, że nieobecność Mickiewicza wywołała na twarzach gospodarstwa jakby wyraz doznanego zawodu. Wyłómaczywszy swego przyjaciela, wnet uczuł się w swoim żywiole, gdy ujrzał się w gronie panienek. Ze szczególną jednakże ciekawością zwrócił się najprzód ku pannie Ewie Henryecie, tém więcej, że był to właśnie dzień jéj urodzin, dzień, w którym ona rozpoczynała rok ósmnasty. Panna Henryeta nie zrobiła na nim wrażenia pierwszorzędnej piękności, nie była nawet wcale piękną, gdyby wypadło sądzić ją podług zewnętrznych rysów twarzy. Ale mimo to sprawiała wrażenie pełne wdzięku, jakby jakieś eteryczne, lecz pełne duchowego wyrazu zjawisko. Mimowoli przypomniała się Odyńcowi postać „Świtezianki“ i obraz jéj, skreślony piórem Mickiewicza:

Jéj twarz, jak róży bladej zawoje,
Skropiona jutrzeńki łezką;
Jako mgła lekka, tak lekkie stroje
Obwiałą postać niebieską...

Taką wydała mu się w pierwszej chwili panna Henryeta, z tą tylko różnicą, że sukienka na niéj była tym razem różowa. Ale po chwili bliższego wpatwienia się a zapewne i rozmowy spostrzegł w niéj Odyniec jeszcze coś więcej, bo nawet wyraźne w ogólném wrażeniu — podobieństwo do Maryli, a wówczas już oddawna pani Puttkamerowej. Obok panny Henryety czyli Ewuni, jak ją później nazwano, znajdowała się jeszcze w domu państwa Ankwiczów starsza od niéj o lat kilka jéj siostra cioteczna — panna Marcelina Łempicka, silniejszej od niéj budowy, ale także bardzo miła, „istna różyczka“ wykwitająca z pączka, a do tego nawet zielono ubrana. Ale nietylko panienki zrobiły od pierwszej chwili tak korzystne wrażenie, bo i sama pani, około 40 lat liczyć mogąca, była typem szczeréj, otwartéj i gościnnéj damy polskiéj, widocznie przywiązanej do staropolskich zwyczajów. Z tego właśnie powodu pani Ankwiczowa, pomimo doskonałej znajomości obcych języków, najchętniej przeciw mówiła po polsku i do domu swego najchętniej zapraszała polaków, do czego zwłaszcza „wigilia“ i „święcone“ tak dobrą nastrecały sposobność. Można nawet powiedzieć, że czém był dom księżnéj Zenejdy dla towarzystwa rosyjskiego, tém dla polaków bawiących w Rzymie był w tym samym czasie gościnnie dom hrabstwa Ankwiczów. Tam gromadzili się wszyscy od największych panów począwszy aż do uboższego księdza i uboższego jeszcze artysty polskiego, jakim był np. Wojciech Stattler lub Karczewski. To téż wszyscy oni znajdowali się na owych urodzinach Ewuni, a Stattler wraz ze Strzeleckim przyszli tam jeszcze i w téj nadziei, że będą mogli zrobić znajomość z Mickiewiczem. Jednakże Mickiewicz dopiero w kilka dni po owym wieczorze, wybrał się tam z wizytą, zaciekawiony słyszanemi z ust Odyńca pochwałami,

a najwięcej może owém mniemaném do „Maryli“ podobieństwem. Wróciwszy, przyznał wprawdzie Odyńcowi, że nie przesadził w swych pochwałach, ale zresztą nie zdawał się panną Ewą być bardzo zachwyconym. Nierównie więcej unosił się nad jęj matką, a zwłaszcza otwartym, szczerym jęj charakterem. Ale i nawzajem panna Ewa nie znalazła tęj przy pierwszém z poetą spotkaniu tego, co w swojęj wzmarzyła wyobraźni. Zamiast owego smukłego, bladego młodzieńca w długim, popielatym surducie stanął przed jęj oczyma pełen naturalnej prostoty już blisko 30-letni mężczyzna, od którego opalonej twarzy odbijało, jakąś smętną zadumą nacechowane czoło.

Ze zwykłą 17-im panienkom nieśmiałością, mówiła Ewunia bardzo mało, a natomiast połykała chciwie każde słowo poety. Pamiętała tęj jeszcze po wielu latach jego pełne naturalnej prostoty a przecież charakterystyczne na owęj wizycie wyrażenie, kiedy poeta, mówiąc o kościele św. Piotra, powiedział o nim, że ma „czapkę na głowie.“

Takie było tedy pierwsze z jednęj i drugięj strony wrażenie, ale niedługo zaszła zmiana w scenach naszego widzenia...

VI.

W kilka dni potęm hr. Ankwicz odwiedził naszych poetów osobście i zaprosił ich znowu do siebie na „skromny polski obiadek.“ Tym razem poszli już obaj, a Mickiewicz siedział nawet przy stole obok—panny Ewy. Na obiedzie znajdowało się jeszcze kilka osób, a między innymi i ksiądz Zajączkowski, wymowny i pełen zapału misionarz. Rozprawiano o Rzymie nowym, w porównaniu ze starożytnym, a przy tęj sposobności wyraził się Mickiewicz, że Rzym nowożytny podobny jest do parweniusza, który sobie z gruzów starego zamku wystawił sklep lub kamienicę. Ksiądz Zajączkowski, biorąc to za lekceważenie Rzymu chrześcijańskiego, powstał z zapałem przeciw płochym i niedojrzałym zdaniom młodzieży. Wywiązało się tedy dość trudne położenie rzeczy, któremu tylko spokój i takt Mickiewicza zdołał ostatecznie dobry nadać kierunek.

Panna Ewa w ciągu całej tęj drażliwej rozprawy była bardziejęj jeszcze milczącą i prawie zatwożoną. Siedząc obok sławnego poety, bała się wrywać z jakięm słówkiem, któreby może za dowód dziecinnego jeszcze umysłu mogło być poczytane. Ale właśnie ta naturalna nieśmiałość zwróciła jego uwagę.

— Zbudowała mnie pani—odezwał się do nięj ku końcowi obiadu—pani, jak widzę, nie grzeszysz wcale wielomówstwem.

Tymczasem deszcz ulewny zaczął padać; niepodobna było wracać do domu, choć obiad dawno był skończony. Uprzejmi gospodarstwo zachęcali do zostania na wieczór, co tęj uczynili chętnie wszyscy uczestnicy obiadu.

Wśród swobodnej rozmowy upływał czas przyjemnie, aż w koń-

cu odezwał się fortepian. Panna Ewa była uczennicą Moschelessa, a Kalkbrenner grywał z nią przed rokiem na cztery ręce. W istocie też grała bardzo dobrze. Mickiewicz słuchał z zachwyceniem takich utworów jak „La Violette“ Hertza, ale mimoto zapragnął—piosenki o Filonie.

— Któżby dziś grał takie stare rzeczy! odezwała się sama pani Ankwiczowa.

— Stare rzeczy! I wartoż to pisać poezye, które za lat dwadzieścia policzą się już do „starych rzeczy“ — odpowiedział poeta.

Po tych słowach, sama pani domu siadła do fortepianu i zagrała „Filona;“ a poeta usłyszawszy swą ulubioną nutę, byłby może w owęj chwili improwizował, gdyby go do tego wezwano.

Tak odbył się tedy ów „obiadek polski“ i wieczór w domu państwa Ankwiczów.

Mickiewicz wrócił do siebie w bardzo dobrym humorze, a Odyńcowi powiedział przy téj sposobności, że Ewunia jest „miłą i rozumną“ panną... Ale i ona zadowolona była z tego wieczoru; przekonawszy się zaś, że poeta tak lubi muzykę, rada była, że w ten sposób zrobić mu może przyjemność. Nie zaniedbała też sposobności, aby nauczyć się piosenki o Filonie i zagrać ją przy najbliższém spotkaniu. Jakoż niedługo potem byli nasi poeci znowu u państwa Ankwiczów. Panna Ewa grała coraz swobodniej, czuła się coraz pewniejszą, zwłaszcza gdy usłyszała z ust Mickiewicza pochlebne słowa:

— Pani grasz, jak skończona artystka.

Mickiewicz stawał w czasie muzyki zwykle blisko fortepianu, aby w przestankach swobodnie mógł z grającą rozmawiać. Panna Ewa nie stroniła od tego, tembardziej, że sam ojciec, wychodząc tego wieczoru na ricevimento do posta hiszpańskiego, polecił jój wyraźnie, aby nie pozwoliła znudzić się poecie. Ale niebawem miał się Mickiewicz dowiedzieć, że prócz dokładnej znajomości muzyki, posiada panna Ewa wiele naukowego wykształcenia, że zna Rzym stary i nowożytny wybornie, że razem z panną Klustin brała w roku przeszłym lekcye archeologii. O tém wszystkiém powiedziała mu sama pani Ankwiczowa, ofiarując się nadto w ciepelszej porze obwozić poetów po Rzymie i jego okolicach. W ten sposób poznawał poeta w panie Ewie coraz więcej przymiotów, które cenił tém więcej, że nie uderzały one odrazu, lecz ukrywały się w cieniu, jak skromne fiołki. Z dniem każdym uważał w nim Odyniec jakąś zmianę. Stawał się bowiem słodkim, miłym, przyjaciela swego często całował i gładził; słowem, widocznie był rozpromieniony. Tymczasem nadchodziły święta Bożego Narodzenia. Państwo Ankwiczowie, którzy zawsze obyczaj polskie zachowywali, zaprosili obydwu poetów na wigilię, tém więcej, że był to oraz dzień imienin Mickiewicza. Nie obeszło się tedy bez życzeń i toastów, a ksiądz Zajączkowski wniósł nawet zdrowie—Adama i Ewy!... Od tego czasu coraz częściej bywał Mickiewicz w domu przy ulicy Mercede, gdzie zwłaszcza pani

domu i obie panny widocznie lubiły go coraz więcej. Panna Ewa i Marcelina postanowiły nawet na intencją poety, zapewne z powodu jego rozpraw z księdzem Zajączkowskim, odmawiać nowennę każdego poranka i wieczoru. W istocie też pod wpływem tej znajomości, poeta nasz, jak wiadomo, zawsze religijny, ale skutkiem kilkoletniego pobytu w Rosyi może cokolwiek zobojetniały w rzeczach wiary, nawracał teraz do zasad, które mu od lat dziecięcych były wpojone.

Już wtedy może widział on w niej owego opiekuńczego anioła, którego później przedstawił w III-jej części „Dziadów,” w owej scenie pod Lwowem, kiedy Ewa poprawia kwiaty przed obrazem Matki Boskiej, modli się za autorem „piękných” piosenek, a nareszcie usypia.

Chór aniołów zjawia się wówczas nad uspioną i śpiewa ową piosenkę, którą poeta po wielu latach tak lubił w ustach swych dzieci:

Braciszka miłego sen rozweselmy,
Sennemu pod głowę skrzydło podścielmy,
Oczami, gwiazdami twarz mu oświećmy
Śpiewając i grając, latajmy wiankiem
Nad czystym, nad cichym naszym kochankiem...

Taką była odtąd Ewunia przed oczyma duszy marzącego poety.

Nic też dziwnego, że teraz pragnął widywać ją jak najczęściej, że z przyjemnością bywał z nią w teatrze, że wreszcie oczekiwał końca zimy, aby w jej towarzystwie odbywać wycieczki po pięknych Rzymu okolicach.

A panna Ewa?..

Panna Ewa czytała tymczasem książki polskie, które jej poeta zalecał, robiła pilnie z nich wyciągi, i nosiła zwykle kokardę zieloną, jakby wymowny znak dobrej nadziei. Pan Ankwicz nie zwracał z początku na to uwagi, ale w końcu zaczynał się naprawdę cokolwiek niepokoić. Uplłynęło wszakże jeszcze nie mało czasu, nim otwarcie zaczął objawiać swoje niezadowolenie. Tymczasem przyniósł tylko córce książkę zawierającą zbiór powiastek angielskich, w których między innymi zawierały się słowa—o niestałości uczucia u poetów.

VII.

Powoli wlokła się zima roku 1830, może tém powolniej jeszcze dla naszego poety, że końca jej oczekiwał on z takim upragnieniem. Nawet częste wieczory, bywanie na rautach i teatrach nie zdawały się przyspieszać nadejścia wiosny, do której poeta wzdychał teraz więcej niż kiedykolwiek. Oto, co sam pisał z Rzymu 6 lutego 1830 r. w liście do Lelewela. (Kor. III, 296): ...Gniję tu już trzeci miesiąc, bo ustawiczne deszcze nie pozwalają nic widzieć oprócz kościołów i galerji. Tych znowu liczba niezmierna zaczyna mordować; mimo nowości i różnaitości przedmiotów, z którymi pierwszy raz zabieram

znajomość, czekam niecierpliwie wiosny, ażeby kiedy niekiedy odświeżyć imaginacją widokiem żywej natury.

Poeta wszakże czas niezajęty teatrem lub wieczorami, na które go często zapraszano, zapełniał poważnemi studjami, które mu w obecnym jego położeniu zapewne tak potrzebną sprawiały różnaitość i rozrywały myśli jego. Z tego powodu pisze w dalszym ciągu przytoczonego listu do Lelewela: „...Dotąd dni całe trawię nad książkami, szczególniej nad pisarzami włoskimi i historją rzymską. Czytanie Liwiusza, którego z dziwnym interesem skończyłem, i przerzucanie Niebuhra i Gibbona obudziło znowu we mnie zapal do historyi, powzięty kiedyś ze słuchania twoich lekcji i przytłumiony różnemi przeszkodami. Od siedmiu lat nigdy nie byłem pewny, że na miejscu jednem rok przebawię i ustawiczna włóczęga rozrywała wszelkie zatrudnienia, wymagające czasu i ciągłego myślenia! Gdybym kiedy osiadł nareszcie, gdybym z twoich rad mógł korzystać, wziąłbym się najprzód za jakąś epokę dziejów ojczystych. Może dziwisz się za miarom, tak bardzo przechodzącym siły i usposobienie moje, lubię jednak o nich marzyć. Jak długo w Rzymie zabawię, sam jeszcze nie wiem. Jeśli mi się uda coś napisać, na czembym mógł oprzeć nadzieje zasilenia finansów, wtenczas puściłbym się dalej ku wschodowi, w przeciwnym razie będę musiał dla ekonomizowania we Włoszech pozostać, gdzie jeszcze mam wiele do widzenia i do uczenia się.“

Okazuje się więc, że poeta około tego czasu powziął myśl pisania jakiegoś nowego utworu, i to zapewne na większe rozmiary, skoro na nim opierać się miała nadzieja zasilenia finansów. Z Listów Odyńca wolno się nawet domyślać, że utworem owym miała być tragedia w rodzaju Prometeusza. Mickiewicz bowiem jeszcze w grudniu 1829 r. kupił sobie w oryginale dzieła greckiego tragika Aischylosa, czytał je pilnie, a nawet nieraz całe sceny wygłaszał z zapalem, w natychmiastowym tłumaczeniu.

Razu pewnego Odyniec, wróciwszy już dość późno z przedstawienia teatralnego, na którym był tym razem bez swego towarzysza, zastał go siedzącego i zadumanego nad Aischylosem. Mickiewicz był pod urokiem świeżego odczytania Prometeusza w okowach. Szczególniej rozmowa Prometeusza z Hermesem zach wyciąła go w wysokim stopniu, dla tego zaczął ją Odyńcowi z zapalem deklamować. Doszedłszy do miejsca, gdzie Prometeusz uniesiony pychą, nie chce się przed Zeusem ukorzyć, lecz owszem wyzywa go do walki, wołając:

Ja nieśmiertelny! nie zginę!

Tak był poeta wzruszony, że usta mu drgały i łzy zabłyśły w oczach. Wreszcie powstał szybko z kanapy i przyznał się Odyńcowi, że myśli o napisaniu podobnego utworu, gdzie człowiek uniesiony pychą, wyzywa do walki wyższe potęgi, i w walce tej nierównej gotuje sam sobie upadek, z którego go dopiero Chrystus jako syn pra-

wdziwego Boga może wybawić. Utworu tego, jak wiadomo, nie wykończył poeta, ale mimo to główna myśl jego odbiła się później w owęj improwizacyi Konrada, gdzie słowa:

Ja czuję nieśmiertelność, nieśmiertelność tworzę,
Cóż ty większego mogłeś zrobić Boże?

przypominają aż nadto ustęp z Aischylowego „Prometeusza.“

W czasie tym, gdy poeta z jednej strony może dumał nad tym nowym utworem, z drugiej odbywał owe wspomniane w liście do Lelewela studia, odwiedzał go często Kornel Stattler, a przychodząc dość wcześniej zastawał go nieraz śpiącym jeszcze. „Po rozbudzeniu się — mówi Stattler — bywał w kwaśnym humorze, dopóki zapaleniem fajeczki nie rozpałił w sobie życia. Z gołą szyją, obrzucony starym granatowym płaszczem, siedząc pochylony i zadumany, a zawsze milczący, zdawał się być okazem samotnika, zamkniętego w celi, miewającego straszne widzenia.“ To téż takim przedstawił go Stattler w portrecie, który wykończył w owym właśnie czasie. Obraz ten pełen wysokich zalet artystycznych, nazywany przez p. hrabinę Alfredową Potocką (matkę byłego namiestnika Galicji) *Il nobile Veneto*, nabył później ks. Konstanty Czartoryski dla swéj galeryi, znajdującej się w Weinhaus pod Wiedniem.

VIII.

Nareszcie skończyła się zima. Poeta, który dotąd, jak sam pisał w liście do Malewskiego, siedział „zaszyty w kaftanie, szlafrok i płaszcz,“ teraz dopiero ożywił się pod tchnieniem wczesnej, jak zwyczajnie w tamtych stronach i nader przyjemnej wiosny. Ogród na Monte Pincio i piękna willa Ludovisi okryły się wkrótce świeżą zieloną szatą i zapraszały do siebie mieszkańców miasta. To téż zapewne na jedną z takich przechadzek, odbytych w towarzystwie państwa Ankwiczów, proponowała Mickiewiczowi panna Henryeta nawną grę w „zielone“ i od téj chwili nosiła już na zawsze bukietek za paskiem swojego płaszczyka. Wkrótce potem miały się zacząć wycieczki, mające na celu zwiedzenie starożytnych pamiątek Rzymu, przy której to sposobności panna Henryeta, stosownie do obietnicy saméj pani Ankwiczowej, miała być ciceronem dla obydwu naszych poetów, bo przecież brała lekcyje od tak znakomitego archeologa, jak profesor Visconti i miała nawet według zapewnienia matki, bardzo dokładne z nich zapiski. Jednego zatém dnia zajęchali państwo Ankwiczowie dużym powozem przed dom na Via del Orso, gdzie mieszkali Mickiewicz i Odyniec, chcąc zabrać ich na dawno upragnioną wycieczkę, której celem miała być willa Pamphili-Doria. Pan Ankwicz i obaj poeci umieścili się we trzech na przodzie, matka zaś i panienki zajęły miejsca w głębi powozu. Odyniec w „Listach z po-

dróży“ opisał dokładnie tę wycieczkę i nazwał ją najmilszą ze wszystkich, jakie aż do dnia tego odbywali. Ale lepiej jeszcze utkwiała ona w pamięci Ewuni, skoro po blisko 50 latach jeszcze tak świeże zachowała jój wspomnienie.

Oto własne jój słowa, wyjęte z nader zajmujących jój „Zwierzęd,” ogłoszonych w „Kronice Rodzinnéj“ w 1879 r.

...„Ten spacer otworzył przed Ewą jakby nowy świat myśli, uczuć, spostrzeżeń. Wszak to ona Rzym znała, ona miała pół żartem, pół seryo powtórzyć, czego ją nauczył Visconti, o tym lub owym gmachu, obok którego przejeżdżali. Tymczasem Adam, tysiąc razy lepiej niż Visconti, rozjaśnił karty téj minionéj przeszłości; rozwinął skarby wiedzy, wszystkich nas zachwycił genialnym poglądem. Była to formalna prelekcya, w której dotknął wszystkich epok, naznaczonych w wieczném mieście tylu pomnikami. W téj chwili jeszcze po latach tylu widzę go rozprawiającego w powozie. Miał on na sobie zarzucony niedbale płaszcz hiszpański czerwonawéj barwy, głowę odkrytą, włosy czarne, długie, wiatr rozrzucał na białém czole; oczy pałały tém światłem wewnętrzném, które tworzyło jakoby aureolę, a z ust płynęły słowa mistyczne mądrości chrześcijańskiej... Byliśmy i u grobu Tassa w San Onofrio, i na miejscu, gdzie św. Piotr męczeństwo poniósł, i u fontanny Paoliny, i wszędzie i ciągle Mickiewicz był wielkim, był poetą, filozofem, uczuciowym“...

Nakoniec po zwiedzeniu wzgórza Janicolo i grobu Tassa, znajdującego się w San Onofrio, przybyło nasze towarzystwo do wspaniałéj willi Pamphili-Doria.

Wszyscy — pisze dalej Ewunia — byli tu odurzeni bogactwem budzącéj się do życia południowéj przyrody.

Adam bawił się jak dziecko, zbierał fiołki pełnemi dłońmi i rzucał je na kolana Ewy, siedzącéj na trawniku. A gdy Marcelina chciała je chwycić w locie, twierdził, że się Ewie należą, bo ona gra la Violette Hertza, ma więc prawo do nazwy „królowéj fiołków.“ Ewa w zamian uwiła mu wieniec z lauru, do którego wplotła różę. „Jedne zapożono, drugie za wcześnie“—rzekł jój na to smutnie poeta.

Wracając ku zachodowi słońca z téj pełnéj uroku wycieczki, powiedział jeszcze do Ewy z cicha te słowa:

— Szkoda, że dziś nie umieram; po dniu takim żyć dłużej nie warto; chwil podobnych nie ma się wiele w życiu. A pani, co na to powiada?

„Ewa zamilkła, a serce jój biło mocno i téj nocy spać nie mogła; śniło się jej nad ranem, że Adam ją kocha, że jój to wyznaje, a ojciec, gniewny na niego i na nią, zakazuje surowo myśleć o czémś podobném.“

Tak opisała Ewunia sama ową prześliczną sielankę w uroczej willi włoskiéj, a pisała to wówczas, gdy liczyła lat... sześćdziesiąt pięć...

Łatwo tedy pojąć, co się działo w jej duszy, gdy miała ich do piero—siedmnacie.

Ale i Mickiewicz spał podobno niespokojnie po owej pamiętnej dla Ewuni wycieczce. Domyślamy się bowiem, że i on przewidywał już wówczas trudności, jakie go spotkać mogły na tej drodze, na której, jak niewątpliwie czuł, posuwał się krokiem przyspieszonym. Poeta dobrze pojmował trudność swojego położenia, a nie chcąc bez celu zaprzętać wyobraźni i serduszka siedmuastoletniej panienki, powziął zaiste szlachetną myśl — ustąpienia jej z drogi. Z takim to właśnie postanowieniem, on, co zwykł był sypiać dość długo, zerwał się nazajutrz wczesniej niż zwykle i zaczął chodzić w kółko po drugim pokoju. Odyniec był pewny, że jego towarzysz układa w głowie poemat i dlatego umyślnie przedłużał drzemkę, aby mu nie przeszkadzać. Tymczasem przy kawie wystąpił Adam z niespodziewanym projektem wyjazdu do Neapolu, dokąd wtedy właśnie wybierał się i Aleksander Potocki. Kto wie nawet, czyby ten zamiar już wtedy nie przyszedł do skutku, gdyby nie Odyniec, który, będąc jeszcze tego samego dnia u państwa Ankwiczów, zastał tam nadzwyczaj przychylny dla swego przyłaciela usposobienie, nie wyjmując i samego hrabiego, rozplywającego się nad jego nauką i geniuszem. W skutek tego rozmówił się Odyniec otwarcie z Mickiewiczem, podzielił się z nim otuchą, której zaczerpnął w rozmowie z samą matką Ewuni, i w ten sposób stanęło—jak mówi—na dewizie Bayarda: „Fais ce que tu dois, advienne ce que pourra.“ Odtąd przez długi czas nie było już mowy o wyjeździe do Neapolu, lecz owszem, coraz nowe w towarzystwie państwa Ankwiczów odbywały się wycieczki, których celem z kolei były wille: Albani, Niels i San Severino. Tymczasem nadchodziły coraz cieplejsze dni marcowe, a wraz z nimi i coraz więcej podróżnych przybywało do Rzymu. Między tymi był jeden, z którym się nasz poeta miał niezadługo najserdeczniejszą połączyć przyjaźnią. Było to właśnie 3 marca, gdy do mieszkania jego wszedł młodzieniec wówczas 25 lat mający (ur. 1805), przystojny, rumiany blondyn, z wesołym na twarzy uśmiechem. Widocznie pewny był radosnego przyjęcia i dlatego szedł wprost ku Adamowi. Ale Mickiewicz go nie poznał, nie ruszył się nawet z kanapy, na której siedział.

— Pan mnie nie poznaje! Jestem Stefan Garczyński.

Jeszcze i po tych słowach zdawał się Mickiewicz nie przypominać sobie swojego z Berlina znajomego. Jakoż nie można się dziwić, że wśród wielu zrobionych w Berlinie znajomości mógł o Garczyńskim zapomnieć, ale i to łatwo zrozumieć, że tak chłodne przyjęcie zmieszkało cokolwiek późniejszego autora „Wacława dziejów.“ Dopiero Odyniec stosownem przemówieniem o niedobrej Mickiewicza pamięci, zwłaszcza gdy chodzi o zapamiętanie fizyognomii, naprawił całą sprawę. Wkrótce atoli obaj nasi poeci pokochali serdecznie sympatycznego Stefana i wprowadzili go do domu państwa Ankwiczów, gdzie miał sposobność poznania się z całym, bawiącym wówczas w Rzymie, towa-

rzystwem polskiem. Około tego samego czasu, bo właśnie 10 marca, postanowili państwo Ankwiczowie odbyć cokolwiek dalszą wycieczkę do miasteczka Fiumicino, leżącego już nad brzegami Śródziemnego morza, przy ujściu Tybru. Zaproszony był i Garczyński, ale dla jakiejś przeszkody nie mógł z tego korzystać. Pojechali więc tylko państwo Ankwiczowie w towarzystwie Mickiewicza, Odyńca i młodego księcia Alexandra Czartoryskiego, wraz z jego guwernerem Strzeleckim. Podróż zajęła dzień cały i odbyła się jak najpomysłniej. To też każdy powrócił z miłemi wspomnieniami i w wesolym humorze. Tylko panna Ewa była tym razem więcej niż zwykle poważna i zadumana. Przyczyną zaś tego miało być następujące zdarzenie.

Oto przy sposobności owej wycieczki, zwiedzano także i ruiny stariej świątyni Jowisza, znajdującej się na Isola Sacra przy ujściu Tybru. Wszyscy byli pod wrażeniem uroczej miejscowości, gdy nagle zjawia się jakaś obszarpana cyganka i obiecuje panienkom wywróżyć z dłoni przyszłość. Panna Ewa podała natychmiast rączkę; toż samo uczyniła i Marcelina, pociągnięta przez nią do tego.

Co wywróżyła cyganka, nie wiedziała wówczas reszta towarzystwa. Dopiero później wyszło na jaw, że według tej przepowiedni, Ewunia miała po dwakroć wychodzić za mąż. Marcelina zaś — wstąpić do klasztoru.

IX.

Po jednej z owych wycieczek na których panna Ewa obiecała być przewodniczką, wrócili obaj poci weseli i ożywieni do pomieszkania swego. Wówczas przypomniał sobie Mickiewicz, że oddawna ma u siebie jej album, w którym mimo nalegań Odyńca dotąd nic jeszcze nie napisał. Być może, że teraz właśnie album owo wpadło mu w oko. Wziął je tedy do ręki, a napisawszy u góry kartki swoje nazwisko, skreślił pod niemi następujące wyrazy:

Mój Cicerone! Oto na pomniku
Jakieś niekształtne, nieznanome imię
Wędrownik skreślił na znak, że był w Rzymie...
Ja chcę coś wiedzieć o tym wędrowniku.

Może go wkrótce przyjmie do gospody
Kłótliva fala; może piasek niemy
Zatai jego życie i przygody,
I nigdy o nim nic się nie dowiemy...

Ja chcę odgadnąć, co on czuł i myślił,
Gdy w księdze twojej, wśród włoskiej krainy,
Za cały napis to imię wykreślił,
Na drodze życia ten swój ślad jedyny...

Czy drżącą ręką po długim dumaniu —
 Rył go powoli — jak nagrobek w skale?
 Czy go odhodząc uрониł niedbale,
 Jako samotną Izę przy pożegnaniu?

Mój Cicerone! dziecinne masz lice,
 Lecz mądrość stara świeci nad twém czołem;
 Przez rzymskie bramy, groby i świątnice,
 Tyś przewodniczym był dla mnie aniołem.

Ty umiesz przejrzyć nawet serca z głazu,
 Gdy błękitnemi raz rzucisz oczyma,
 Odgadnąć przyszłość z jednego wyrazu,
 Ach! ty wiesz może i przyszłość pielgrzym!

Na drugi dzień odniósł poeta sam album do państwa Ankwiczów. Łatwo więc pojąć, z jakim uczuciem czytała panna Ewa wiersz, dla niej umyślnie napisany. Ale ojciec jój, który go zapewne także przeczytał, nie okazał wcale zadowolenia, Być nawet może, że nie zdołał już teraz ukryć złego z tego powodu humoru, że nawet wówczas już (po raz pierwszy) nie podał ręki odchodzącemu poecie. Zrozumiał to dobrze Adam, ale podobnie jak Jacek Soplica w „Panu Tadeuszu“ choć czuł, ile jest piekła w obrażonej dumie, nie zdradził przecież tego, co było na dnie jego duszy, a co mimo tego nie uszło zapewne uwagie pani Ankwiczowej i jój córki:

Ale Ewa, zważając mój wzrok i mą postać,
 Zgadywała, nie wiem jak, co się we mnie działo,
 Patrzyła błagająca, lice jój bledniało;
 A był to taki piękny gołąbek łagodny,
 I wzrok miała uprzejmy taki! tak pogodny,
 Taki anielski, że już nie wiem, już nie miałem
 Odwagi zagniewać jój, zatrwożyć, milczałem...

Zdaje się, że słowa te napisał poeta pod wpływem wspomnienia owego pamiętnego dla siebie wieczoru, po którym wrócił do domu w takim usposobieniu, iż gotów był zaraz nazajutrz wyjechać do Neapolu, a nawet zamiar ten oświadczył swemu przyjacielowi. Odyniec, domyślając się powodu tego nagłego postanowienia, poszedł zaraz nazajutrz do państwa Ankwiczów, a nie zastawszy hrabiego, rozmawiał z pannami i panią domu, która natrącając coś o splenie, napadającym nieraz jój męża, dodała kilka słów o potrzebie wyrozumienia dla starszych. Gdy nadto jeszcze tego samego dnia miał sam hrabia być u naszych poetów, aby ich znowu zaprosić na wieczór, w następnych zaś dniach nastąpiły znowu rozrywki takie, jak wycieczka do Frascati, wieczór u księżnej Dietrichstein, lub wreszcie zwiedzenie przy pocho-

dniach muzeum watykańskiego, zapomniał poeta jakoś powoli o swym zamiarze opuszczenia Rzymu i o chwilowém z panem Ankwiczem nieporozumieniu. Do wyrównania tych stosunków przyczyniła się może najwięcej sama pani hrabina, która kochając córkę i dbając o wątłe jęj życie, zdawała się widocznie sprzyjać skłonności którą bystre oko matki spostrzegło niezawodnie od pierwszej chwili. Bardzo wiele zrobił w tęp sprawie także Odyniec, lubiony przez całą rodzinę Ankwiczów, nie wyjmując nawet samego hrabiego, który mu zawsze dawał dowody swęj życzliwości i przyjaźni. Mimoto zdaje się, że nie zaraz gotów był poeta pojawić się znowu w domu przy ulicy Mercede. A przecież smutno mu było nie widzieć Ewy; dlatego być może, że wtedy kupił sobie rycinę Magdaleny Correggia, do której zdaniem jego, Ewa była podobna. Tymczasem nadarzyła się inna sposobność do widywania się z panną Ankwiczówną. Około tego bowiem czasu najznakomitszy wtedy portrecista Craffonari robił właśnie jęj portret. Poeta dowiedział się o tęp, i przychodził do pracowni Craffonarego, gdzie zastawał Ewę w towarzystwie jęj matki. Portret był już naszkicowany, ale rodzice nie byli z niego zadowoleni. Posłuchajmy, jak sama Ewunia po latach kilkudziesięciu opisała to w swoich „Zwierzeniach“

...„Do Craffonarego trzeba było iść wysoko, jak na wieżę, do pałacu weneckiego, w którym na najwyższém piętrze miał swoją pracownię. Ewę trudiły wschody, więc wnoszono ją tam. Podczas długich posiedzeń bawił prawie ciągle Adam, rozmawiał to z Craffonarym, to z nią samą; to tęp portret nabrał życia i wyraz srogich nudów, który wrpód miały jęj rysy, przemienił się w ożywiony. Wpatrując się w nią z malarzem, znajdował tysiąc razy sposobność powiedzenia jęj jakiegoś grzeczności, która ją podnosiła w własnej opinii. Cieszyła się tęp w głębi ducha, a jednak bała się zajrzeć w serce swe, bała się ojca i przyśzości. Puszczała się jednak na to pole uczuciowe, jak dziecko nieprzezorne. Matka zdawała się dzielić jęj wrażenia. Marcelina ostrzegała, ale tych rad nie lubiła słuchoć; zaczęła nawet myśli swe przed nią tacić“...

Niedługo potęp ułożyli państwo Ankwiczowie wycieczkę do Genazzano, miasteczka położonego w górach Abruzzo, gdzie się znajdował najdawniejszy klasztor Augustyanów, słynący oraz cudownym obrazem Pocieszenia N. Panny. Wycieczka ta, a raczęp pielgrzymka, odbyła się w kwietniu 1830 roku, w towarzystwie dość licznęp, bo prócz rodziny Ankwiczów wzięli jeszcze udział obaj nasi poeci, a prócz nich książę Aleksander Czartoryski, ze swoim gubernierem Strzeleckim, Felicyan Niegolewski i Stefan Garczyński ze swym krewnym Gajewskim. Po noclegu, odbyтым tego samego dnia w Palestrynie (dawnym Preneste), przybyło całe towarzystwo w dobrym humorze na miejsce przeznaczone. Damy spowiadały się i przystąpiły do Stołu Pańskiego, a Mickiewicz całą wotywę przeklęczał w kapticy przed cudownym obrazem Matki Bożęj, od której i on spodziewał się pocieszenia. Gdy zaś po nabożeństwie zwiedzano piękný ogród klasztorny,

i z tego powodu wszczęła się o życiu zakonnem rozmowa, skreślił Mickiewicz obraz tego życia w tak czarujący sposób, że panna Marcelina, słuchała go ze łzami w oczach. Widok tych łez zrobił na poecie wielkie wrażenie, zadumał się i w powrocie do Rzymu mówił niewiele. Za to, wróciwszy do domu, napisał wprost na czysto ów prześliczny wiersz do Marceliny Łempickiej:

Dziś cię za stołem swym Chrystus ugościł,
Dziś tobie anioł niejeden zazdrościł,
Ty spuszczasz oczy, które bóstwem gorą;
Jak ty mię swoją przerażasz pokorą!
Święta a skromna! Grzesznicy nieczuli,
Gdy my w spoczynku skroń ospałą złożym,
Tobie, kłęczącej przed Barankiem Bożym,
Jutrzenka usta modlące się stuli...

X.

Szybko ubiegło następnych dni kilkanaście, urozmaiconych, zwiedzeniem Forum i Kolosseum przy świetle pochodni, wycieczką do Ostii, leżącej przy ujściu Tybru, a nakoniec uroczystém święceniem u państwa Ankwiczów, gdzie znajdowali się prawie wszyscy bawiący wtedy w Rzymie Polacy. Nareszcie po dwóch jeszcze wycieczkach do Tivoli (12 kwietnia) i do Subiaco, w których obaj nasi poeci wzięli udział, zaczął już pan Ankwicz coraz częściej wspominać o zamiarze opuszczenia Włoch i powrocie do kraju. Do stanowczego postanowienia mógł się przyczynić list otrzymany od jednego z jego wiejskich sąsiadów, w którym między innemi były te słowa:

„Rozchodzi się wieść, że wydajesz córkę za sławnego wieszczka polskiego“.

— Widzisz, do czego to wszystko prowadzi, rzekł wówczas hrabia do żony, ale mimo to nie miał przecież odwagi zabronić przystępu do domu swego człowiekowi, który był w salonach królowej Hortensyi, najpierwszych rodzin książęcych—poecie, którego geniusz wszyscy tak wysoko wielbili, a osobisty charakter cenili tak powszechnie. Bywanie więc takiego człowieka w domu jego może nawet schlebiało próżności hrabiego Ankwicza,

bom miał zachowanie
U szlachty i lubili mnie wszyscy ziemianie,
Więc on niby miłości mojej nie dostrzegął,
Przyjmował mnie jak dawniej, a nawet nalegał,
Abym częściej przyjeżdżał, a ilekroć sami
Byliśmy, widząc oczy me przyćmione łzami
I pierś zbyt pełną i już wybuchnąć gotową,

Chytry starzec wnet rzucił obojętne słowo,
 O mych dawnych miłośkach, bo prawda niestety!
 Że już bałamuciołem i dawniej kobiety—
 Zwyczajnie młody głupiec! On gadając o tém,
 Przy córce, jakby serce przeszywał mi grotem,
 I po takich wspomnieniach w rozpaczy i gniewie,
 Czulem, że już nie mogłem nic mówić o Ewie...

Tak opowiada Robak w „Panu Tadeuszu,” ale widać, że poeta właśnie dlatego tyle prawdy wlał w swoje słowa, że i sam w podobnym zaidował się położeniu. Ale i następujący ustęp zgadza się z prawdą rzeczywistością:

W tem stolnik posepny,
 Zimny jako słup soli, grzeczny, obojętny,
 Wszczął dyskurs o czem? o czem? o córki weselu...

W istocie bowiem nieraz głośno odzywał się hrabia:

— Muszę wracać do kraju, czas córkę za mąż wydać.

Około tego czasu Mickiewicz może i z powodu moralnych cierpień, które teraz podobnie, jak niegdyś w Kownie, wypadło mu przechodzić, zachorował i prawie przez cały tydzień nie mógł wychodzić z domu, choć tylko cztery dni pozostać musiał w łóżku. Na szczęście bowiem skończyło się tylko na gorączce czy też pewnego rodzaju febrze. Wszyscy znajomi otoczyli go swemi staraniami, a nieoceniona księżna Zeneida nawet z tego jedynie powodu wyjazd swój w górę o pięć dni opóźniła, i wyjechała dopiero wtedy, kiedy poeta już do zdrowia powrócił. Rozumie się, że i panna Ewa-Henryeta dowiadywała się o zdrowiu poety, a nawet nie zapomniiała o „zieloném.”

Zdarzyło się, że właśnie w owym czasie pani Ankwiczowa, skutkiem jakiegoś przegranego z poetą zakładu, przysłała mu piękny portfel na papiery. Do tej przesyłki dołączony był bilecik i—cukierki dla Odyńca. W odpowiedzi na to, dziękując za cukierki, dodał Odyniec następujące słowa:

„Odpowiadam na pytanie panny H., iż w chwili odebrania listu, Mickiewicz nie miał przy sobie koloru nadziei.”

Ale na tej saméj kartce dopisał się zaraz sam rekonwalescent:

„Dziękuję nieskończenie memu szczęściu i pani hrabinie za piękny portfel. Pannie H. mam honor pokornie oświadczyć, że u nas nie godzi się grać z damami w żadną grę przez posły... Ilekroć zechce przekonać się o mojej pamięci, a przysięgam na wszystko, co zielone od myrtu aż do pokrzywy, że o każdej z dwudziestu czterech godzin, znajdzie u mnie kolor nadziei. Edwardowi wierzyć nie można; ucukrował świerzo usta z łaski Pani, jest więc świadkiem przekupionym. Mam nadzieję, że dziś u państwa wszyscy zdrowi i jednostajnie na nas łaskawi.

Najniższy i najzieleńszy sługa

Mickiewicz.“

Niedługo potem, dzień wyjazdu państwa Ankwiczów był już stanowczo oznaczony. Z tego więc powodu odbył się u nich 27 kwietnia 1830 obiad pożegnalny, na którym znajdowało się liczne, prawie z samych polaków złożone towarzystwo.

Po obiedzie panna Ewa grała, a poeta słuchał—według słów Odyńca, jak—„nasepiony sokół.“

XI.

Zanim wszakże Ankwiczowie wyjechać mieli z Rzymu, postanowili ci wszyscy, którzy tyle chwil przyjemnych spędzili w ich domu, urządzić na ich cześć rodzaj pożegnawczego festynu. W tym celu uzyskano pozwolenie od właściciela pięknej willi Pamphili-Doria, a nawet do użycia potrzebnej do tego sali pałacowej, porcelany i sreber stołowych, czego wszystkiego kredencarz pałacu miał udzielić. Mickiewicz radził z początku, aby wyprawić ucztę czysto polską i to według starej księgi, którą nawet jako rzadką osobliwość woził ze sobą po świecie. Była to zaś ta sama, o której wspomina i w „Panu Tadeuszu.“

Księga ta miała tytuł: „Kucharz doskonały“

W niej spisane dokładnie wszystkie specjalne
Stołów polskich; podług niej hrabia na Tenozynie
Dawał owe biesiady we włoskiej krainie,
Którym się Ojciec święty Urban ósmy dziwił;
Podług niej później Karol-Kochanku-Radziwiłł,
Gdy przyjmował w Nieświeżu króla Stanisława,
Sprawił pamiętną ową ucztę, której sława
Dotąd żyje na Litwie we gminnej powieści.

Ale myśl Mickiewicza była w danych warunkach trudną do wykonania, i dlatego porzeczono na projekcie, zrobionym przez Strzeleckiego, którego szczegółowe wykonanie polecono kredencarzowi pałacu. Chodziło tedy jeszcze tylko o to, aby pod jakim pozorem spróbować do willi hrabiego Ankwicza wraz z rodziną, tembardziej, że z jednej strony nie było pewności, czy przyjąłby wyraźne zaproszenie, a z drugiej była i wielka ochota do zrobienia miłej w ten sposób niespodzianki. Wiedząc o tem, że hrabia jest zapalonym archeologiem, i że każde nowe odkrycie może go bardzo zainteresować, pobiegł Mickiewicz tego dnia rano do państwa Ankwiczów z wiadomością, że w willi Pamphili odkryto starożytne columbarium, które warto zobaczyć, zanim się inni ciekawi o tem dowiedzą. Hrabia w tej chwili posłał po powóz i z całą rodziną pojechał na miejsce wskazane. Tu dopiero wykryła się cała mistyfikacja, ale trudno było się gniewać za to, co z najlepszych wypływało chęci, a nadto urządzone było, jeżeli nie zbytownie, to przynajmniej z wdziękiem niezaprzeczonem. Po uczcie, złożonej z wybornych potraw, a podanych na książęcym serwii-

się, po toastach, spełnionych dobrém winem przy użyciu najpiękniejszych pałacowych kryształów, puszczone wszystkie wodotryski, a prócz tego w pewnym oddaleniu ukazał się ludowy balet, saltarella, wykonany przez Transteweranki, a właściwie miejscowe ogrodniczki. Wszystko to razem wzięte sprawiło uroczą dla państwa Ankwiczów niespodziankę, która długo zachować się miała w ich pamięci. Wszyscy też w najlepszym, prawdziwie sielankowym usposobieniu, przechadzali się po wspaniałym ogrodzie. Mickiewicz rozmawiał najwięcej z Ewunią, zbierał dla niej kwiaty i prawie od niej nie odstępował. Szybko i przyjemnie ubiegło w ten sposób kilka godzin, aż gdy ku zachodowi słońca, pan Ankwicz z obawy chłodnego wieczoru, odwiózł swoje panie do domu.

Wszyscy pamiętali długo tę wycieczkę, a Ewunia jeszcze po latach kilkadziesiątu, opowiadając ją szczegółowo p. Duchnińskiej, miała dodać z westchnieniem:

— Był to dzień najpiękniejszy w mojem życiu! Jak będę umierać, jeszcze go nie zapomnę.

XII.

Wróciwszy z willi Doria, dowiedzieli się nasi poeci o smutnej dla nich nowinie. Przyjaciel ich, ksiądz Parczewski, dla charakteru swego i nauki kochany przez całe towarzystwo polskie, ale niestety chory już od dłuższego czasu,—znajdował się w dniu owym w wielkim niebezpieczeństwie. Mickiewicz i Odyniec pospieszyli do niego tego samego wieczoru, chcieli nawet obydwa całą noc przy nim czuwać, ale na przedstawienie przyjaciół, troskliwych o zdrowie poety, który i tak niedawno sam był chory, odprowadził Garczyński Mickiewicza do domu i przenocował z nim zamiast Odyńca, który tymczasem pozostał przy Parczewskim. Nazajutrz przez cały dzień nie odstępował Mickiewicz chorego przyjaciela, który w nocy z dnia 30 kwietnia na 1 maja pożegnał się z tym światem.

Śmierć ta sprawiła na poecie, zarówno jak i na wszystkich ziomkach, głębokie wrażenie. Państwo Ankwiczowie opóźnili nawet swój wyjazd, aby być na jego pogrzebie.

Parczewskiego pochowano 3 maja w kościółku św. Stanisława, gdzie też w posiadce kościelnej znajduje się tablica z napisem polskim, który ułożył Mickiewicz.

Stattler w „Przypomnieniach starych znajomości“ (ogłoszonych w „Kłosach“ z r. 1873), opowiada, w jaki sposób powstał ten napis, przy którego układzie poeta z taką gotowością odstępował od własnego pomysłu, aby uwzględnić życzenia i uwagi swoich przyjaciół. Oto Mickiewicz wziął pióro do ręki i zaczął pisać. Już ułożył kilka wyrazów, gdy Garczyński zwrócił uwagę, aby nie pominąć historycznej daty 3 maja, inni zaś chcieli, aby na tablicy wyrażono kto ją położył.

— Czyż wam koniecznie chodzi o to, aby obok wspomnienia umarłego było i o was wspomnienie? — zapytał Mickiewicz.

— Nie, nie chodzi o nasze nazwiska, lecz o narodowość tych, co kamień położyli — odpowiedzieli niektórzy.

Poeta przekreślił na to słów kilka, a w skutek tego powstał napis, którego pierwszy wiersz był pomysłu Strzeleckiego, ażeby całość miała charakter chrześcijański:

W imię Ojca, Syna i Ducha Św.
Stanisław ks. Parczewski
Urodził się w Litwie. Umarł w Rzymie 1830 r.
Pochowany dnia 3 maja.
Ziomkowi
Ten kamień położyli
Przyjaciele.

Na drugi dzień po pogrzebie księdza Parczewskiego wyjechali państwo Ankwiczowie z Rzymu, udając się do majątku swego w Galicyi. Strzelecki wraz z uczniem swoim, księciem Aleksandrem Czartoryskim, towarzyszyli im aż do Florencyi. Mickiewicz, Odyniec, Garczyński i kilku innych młodych ludzi odprowadzało ich także.

Mickiewicz jechał w powozie wraz z damami, i wtedy ofiarował pannie Ewie dwa tomiki swoich poezyj. Na okładce położył jój imię i nazwisko, a potem słowa: „W dzień odjazdu z Rzymu. Adam Mickiewicz.”

Na pierwszej kartce dopisał prócz tego: „W bramie del popolo. Wyjeżdżamy z Rzymu, nie będziemy płakać ani w dzień ani w nocy, będziemy w dobrém zdrowiu. Do widzenia!”

Na drugim tomiku, w którym zawierały się „Dziady,” położył słowa: „Nie wolno czytać!” a nadto wiele ustępów ołówkiem na krzyż poprzekreślał.

Gdy przybyli do Ponte Mole, zamierzał Mickiewicz pożegnać się z odjeżdżającymi, aby wracać do Rzymu i sposobić się do zamierzonej podróży do Neapolu. Jednak pani Ankwiczowa zachęcała, aby ich odprowadził do pierwszej stacyi pocztowej w Starta. Mickiewicz nie mógł odrzucić zaproszenia, tém bardziej, że Odyniec, wracający do Rzymu, obiecał wszystko do podróży neapolitańskiej przysposobić.

Rozstawszy się z rodziną Ankwiczów, wrócił poeta do Rzymu, i według świadectwa Odyńca był nadzwyczajnie słodki i miękki, tak, że nie zmarszczył się nawet, chociaż nie zastał jeszcze żadnych do wyjazdu przygotowań. Tego samego wieczoru w gronie znajomych poszedł na forum i do Kolosseum, aby je przy świetle księżycy po raz ostatni oglądać i pożegnać. Kolosseum bowiem dziwny zawsze miało dla niego urok. Tam — jak opowiada Statler — siadał skromnie jak pielgrzym pod drewnianym krzyżem na środku areny i skupiony w sobie dumał nieraz całemi godzinami. Dzień następny zeszedł na przy-

gotowaniach do podróży, pakowaniu rzeczy i poszukiwaniu koni. Na koniec dnia 6 maja (1830) puścili się nasi poeci w dalszą drogę w towarzystwie Stefana Garczyńskiego i Adolfa Januszkiewicza, którzy ich odprowadzili do Albano. I trzebaż było, że w ten sposób z dwojga ludzi, których myśli i uczucia już wtedy tak ściśle zaczynały się łączyć, w tych samych dniach jedno udawało się na północ, drugie zaś dążyło ku południowym stronom. Państwo Ankwiczowie bowiem, wyjechawszy ze Rzymu 4 maja, przepędzili całych sześć dni w podróży, zanim przybyli do Florencyi, zaś Mickiewicz jeszcze równocześnie z nimi znajdował się w drodze do Neapolu. Już ta sama okoliczność dawała powód do częstych i wzajemnych o sobie wspomnień.

Mickiewicz może nieraz wówczas spoglądał na obrazek Magdaleny Correggia, który dla podobieństwa z Ewunią lubił przy sobie nosić, może przypominał sobie owe czarowne chwile, spędzone razem w pięknej willi Pamphili-Doria.

A panna Ewa? I ona nie wypuszczała go ze swęj myśli... Miała przecież ze sobą jego poezye. Z tych dawniej już umiała wiele na pamięć, teraz zaś odczytywała nieznanne jej przedtém sonety i powtarzała je z pamięci. W ten sposób zdawało się jej, że rozmawia z samym autorem, że widzi go obok siebie i słyszy żywe jego słowa...

XIII.

Ósmego maja 1830 roku przybyli nasi poeci do Neapolu, w towarzystwie Felicjana Niegolewskiego, który w drodze połączył się z nimi. Tu, zamieszkawszy w domu prywatnym Via Conzezion e n. r. 39, zaczęli rozpatrywać się w mieście i w czarownych jego okolicach.

Wkrótce tedy poznali

I straszne Pauzylipu skaliste wydroże ¹⁾

i wiele innych osobliwości tamtejszych, które zwiedzili, korzystając z powozu uprzejmego dla nich hr. Aleksandra Potockiego ²⁾.

Do ożywienia wycieczek przyczyniła się niemało znajoma już nam panna Anastazya Klustin, która tu z matką swą i bratem także przybyła. Jednak teraz nie była ona już niebezpieczną dla naszego poety, chociaż Byron polski, jak go nazywała w swym dzienniku, jak

¹⁾ Odwieczny tunel wykuty w skale, stanowiący drogę z Neapolu do Puzzoli (dawnego Puteoli). Wyraz grecki Pauzylipu znaczy tyle, co „zaniechaj troski“, odpowiada więc francuskiemu *Sans-souci*.

²⁾ Aleksander hr. Potocki okazywał tyle uprzejmości dla Mickiewicza, że otworzył mu nawet kredyt u jednego z bankierów Neapolitańskich, o czém opowiada Fontille w biografii Mickiewicza i Odyniec w „Listach z podróży.“ (Tom IV, str. 104).

dawniej tak i teraz zachwycił ją swoim geniuszem i charakterem. Panna Anastazyja przez cały czas pobytu we Włoszech spisywała dziennik swoich wrażeń. Są w nim naturalnie i niektóre wzmianki o Mickiewiczu, począwszy od pierwszej z nim znajomości, co nastąpiło jeszcze 14 grudnia 1829 r. W cztery dni potem, czytamy już notatkę:

„Wczoraj rano poeta Mickiewicz zachwycił mię swoim umysłem.“
(Le poëte Mickiewicz m'a enchantée par son esprit).

W dziesięć dni potem pisze panna Anastazyja:

„Wzrok Mickiewicza zapalił się, oczekuję od niego przynajmniej ody na cześć moje.“ (Les yeux de Mickiewicz se sont allumés, et j'attends au moins une ode en mon honneur).

Dnia 10 marca pisze autorka dziennika, że jego poezye czytała w tłumaczeniu, że one ją podnoszą i zachwycają, a gdyby sądzić można o autorze z charakteru, jaki nadał swój bohaterce, byłby Mickiewicz aniołem; Aldona bowiem nie ma nic ziemskiego w sobie.

(J'ai appris à connaître le Byron de Pologne. J'ai lu des traductions de ses oeuvres, je les trouve aussi poétiques, mais plus douces par le coeur, elles m'élèvent, me transportent. Si on pouvait juger d'un auteur par le caractère qu'il donne à son héroïne, Mickiewicz serait un ange).

Ale nareszcie dwudziestego pierwszego kwietnia 1830 pisała już panna Anastazyja: „Mickiewicz mi się podoba nieskończenie. Nie mogę odgadnąć, co on myśli o mnie.“ (Mickiewicz me plaît infiniment. Je ne puis démeler ce qu'il pense de moi). Któż wie, czy pełna egzaltacji Rosyanka nie przybyła teraz właśnie do Neapolu, aby między innymi dowiedzieć się także o tém, czy o niej i co o niej pomysli nasz poeta. Ale myśli jego zwrócone były stanowczo w inną stronę. Zrozumiemy też łatwo, z jaką radością powitał list, który właśnie teraz z owiej strony przybywał. Oto, co pisała do niego zawsze dla niego łaskawa matka Ewuni:

„Florencyja 11 maja 1830 r.

Po sześciodniowej podróży, stanęliśmy szczęśliwie we Florencyi dnia wczorajszego, i najpierwszém mém zatrudnieniem jest pisać do pana. Będąc pewną jego przyjaźni, wiem, że mu to zrobi przyjemność dowiedzieć się o podróżujących. Drogę całą mieliśmy smutną z różnych powodów. Henryetta było cierpiącą na ból zębów i głowy, do tego żal rozstania się z przyjaciółmi, tak łaskawymi dla nas, ciągle nam towarzyszył. Ośladzaliśmy sobie jak mogli te przykre momenta, odczytując jego śliczne poezye, w których jeszcze zdawało się nam głos pana słyszeć. Mówiliśmy zawsze o nim i prędkiem znowu zobaczeniu się, lecz wszystko to nie było tém, cośmy pożegnali i utracili. Pan Strzelecki, który jest prawdziwie najżyczliwszym panu, jechał z nami często, i także pomagał nam myśleć i mówić przyjemnie o upłynionych chwilach w Rzymie. Zwiedziliśmy sławną kaskadę w Terni, która jest cudnej piękności i jedną z najpiękniejszych w Europie, lecz cóż! dla

mnie była nieznośną, z powodu bólu zębów, jaki cierpiała moja córka nie do opisanania, a do tego tak późno tam przybyliśmy i tyle było rzeczy do widzenia, że do późnej nocy przy świetle księżycy tam obchodziliśmy. Prosiłam litości tych panów, żeby się wrócili; nie nie pomogło, chora utrzymując, że jój nic z tym bólem i cierpieniem, wszędzie być musiała. Zwiedziliśmy różne miejsca, jak to: Spoleto, Perugia, Arezzo i sławne jezioro Trasimeńskie, zgoła cała ta podróż jest złożona z najpiękniejszych miejsc, szkoda, żeśmy jój razem nie zrobili. Strzelecki za parę dni nas odjeżdża, a tak zostajemy sami, niepewni jeszcze gdzie pojedziemy, a od doktora wiele zależeć będzie, co się ma z nami stać; en tout cas, nie zapominaj pan o nas. Pisz téż tylko o sobie, o swoim zdrowiu, jak się podróż udała i czy się Neapol podobą. Ja znowu pisać będę, gdzie pojedziemy ztąd, a tak zostanie nam ta pewność, że czy razem, czy w oddaleniu, będziemy na zawsze jego najszczerzej życzliwoci przyjaciele

Ankwiczowie.

„Mąż mój łączy swe ukłony. Mój mąż, książę Aleksander, pan Strzelecki, ksiądz Zamojski, wszyscy są we Florencyi, a ja, słuchając pięknej muzyki, która pod mojem oknem różne tańce wygrywa, piszę niniejszy list. Może téż, kiedy go przy takich wesołych tańcach kręśle, i wesołe myśli wzbudzi, bo prawdziwie bardzo smutni jesteśmy.“

Do powyższego listu dołączony był drugi, pisany ręką panny Ewy. Zaczynał się on od słów następujących:

„Z ukontentowaniem biorę się do wypełnienia mojej obietnicy, w opisanu kaskady „delle marmore“ w Terni, a chociaż czuję, iż na to biegłego trzebaby pióra, jednak zaufana w dobroci Pana i pewna, że przebaczy nieudolności swęj siostry, zaczynam to dzieło...“

Opisawszy następnie dość szczegółowo i nie bez pewnej poezyi ową piękną kaskadę, kończy autorka list swój w sposób następujący:

„...Wieczór był śliczny, spokojny, i gdyby nie mocny ból zębów, byłby zapewne przyjemniejszą pamięć mi zostawił. Może téż ten ból jest przyczyną, że się jój źle przypatrzyłam i tak niedokładnie opisałam. Jakkolwiek jest, niechaj Pan nie widzi w tém, tylko dobrą chęć od zawsze mu życzliwéj

Henryety Ankwicz“.

Poznawszy Neapol i niektóre, zwłaszcza najbliższe jego okolice, wybrał się Mickiewicz 15 maja do Sycylii. Pojechał tym razem bez Odyńca, który nie miał ochoty do téj wycieczki. Nie umiemy powiedzieć, czy był wówczas poeta pod opoką, którą Sycylianie zwą „Birrante-Rokką“, ale pewną jest rzeczą, że zwiedził Palermo i Messynę, i że w ogólności nie bardzo z wycieczki téj zadowolony, powrócił do Neapolu 20-go lub według Odyńca 24 maja. Tego samego dnia odebrał list od pani Ankwiczowéj, w którym zawierała się wiadomość, że z powodu śmierci jój ojca, hrabia, chcąc ją rozerwać, postanowił nie wracać jeszcze do kraju, lecz jechać najprzód do Paryża, a potém zwiedziwszy Szwajcaryą, na zimę znowu do Rzymu powrócić. W ten

sposób mógł się poeta cieszyć nadzieją, że po niedługim czasie zobaczy znowu pannę Henryetę.

Tymczasem zaś wyprawił list, w którym oprócz współczucia z powodu doznanego ciosu, znajdowało się naśladowanie pięknej piosenki Goethego:

Znaszli ten kraj
Gdzie cytryna dojrzewa.

Pani Ankwiczoza odebrała sama list na poczekie i dała go także córce do przeczytania. Z jakimże uczuciem czytała ona wówczas dawniejsze wspomnienia i nowe wezwanie do Neapolu:

Znaszli ten gmach.
Gdzie wielkich sto podwoi,
Gdzie kolumn rząd
I tłum posągów stoi?
A wszystkie mnie
Witają twarzą białą:
Pielgrzymie nasz,
Ach co się z tobą stało?
Znaszli ten kraj?..
Ach tam, o moja miła!
Tam był mi raj,
Pókiś ty ze mną była!..
Znaszli ten brzeg,
Gdzie po skalistych górach,
Strudzony muł
Swój drogi szuka w chmurach?
Gdzie w głębi jam
Płomieniem wrą opoki,
A z wierzechu skał
W kaskadach grzmią potoki?
Znaszli ten kraj?..
Ach tu o moja miła!
Tu byłby raj,
Gdybyś ty ze mną była!..

Zwiedzenie odleglejszych cokolwiek okolic Neapolu, jak starożytne Bajae, Pestum, Sorrento, Herkulanum i Pompei zajęło jeszcze czas do 19 czerwca, w którym to dniu po blisko 6-tygodniowym pobycie w Neapolu, poeci nasi wybrali się napowrót w drogę do Rzymu, z kąd znowu mieli się udać do Szwajcaryi.

Państwo Klustin zostali jeszcze w Neapolu, ale oznaczyli Genewę jako miejsce spotkania się z naszymi poetami w miesiącu sierpniu tego samego roku.

XIV.

Tym razem szybko jechali nasi poeci, bo 20 ¹⁾ czerwca byli już w Rzymie. Nieoceniona księżna Zeneida, która wówczas mieszkała na wsi w okolicy, przybyć miała umyślnie na pewien czas do miasta, aby nie pominąć sposobności widzenia się z Mickiewiczem.

Według opowiadania Kornela Stattlera, Mickiewicz, przyjechawszy teraz do Rzymu, pobiegł najprzód do jego pracowni. Stattler, mieszkający od lat siedmiu przy znacznej rodzinie włoskiej państwa Zerboni, oddawna kochał się w ich córce, pięknej pannie Klementynie i był już z nią po słowie. W tym właśnie czasie wykończył jej portret, którym się Mickiewicz w wysokim stopniu miał zachwycić.

— Jak ty duszę pochwyciłeś!... duszę piękną!... i serce pomieściłeś na tych ustach, w tém spojrzeniu! — wołał poeta z zachwyconym wpatrując się w dzieło malarza.

Potém zachęcał Stattlera, aby się żenił jak najprędzej, aby nie lękał się o chleb i miał ufność w Bogu, który i najbiedniejszych nie opuszcza.

— Ale spiesz się — dodał — bo chcę ci żonę do ołtarza poprowadzić, a wyjeżdżam niedługo.

Zachęcony temi słowy, uzyskał Stattler wkrótce zezwolenie rodziny narzeczonej i załatwił wszystko, czego wymagać mogła podobna okoliczność. Za kilka dni, t. j. 27 lipca, Mickiewicz z jednej strony, z drugiej zaś Odyniec, prowadzili już jako drużbowie — pannę Klementynę do ołtarza. Po ślubie, który odbył się między 10 a 11 godziną zrana odbyło się śniadanie, o 5-tęj obiad w mieszkaniu nowożeńców. W niechlężnym kole biesiadników znajdowali się jeszcze Stefan Garczyński i jego krewny, Apolinary Gajewski, oraz kilku artystów włoskich, a między tymi był znany nam już portrecista Craffonari i kolega Stattlera Giacomo Sogni. Rzecz naturalna, że w kole artystów toczyła się rozmowa o sztuce i wzniosłóm jój zadaniu. Mickiewicz mówił z zapałem o tym przedmiocie, a przy toaście na pomyslność młodej pary wypowiedział tak piękną w języku francuskim improwizacyą, że Sogni rozpląkał się jak dziecko, a pięćdziesięcioletni Craffonari, zerwawszy się z krzesła, zaczął poetę gorąco ścisnąć i całować.

Odyniec spamiętał treść owj improwizacyi. — Poeta mówił o talencie artystycznym, jako o darze Boga i o sztuce, która dlatego powinna myśli i uczucia ludzkie uszlachetniać i dążyć — do Boga. Następnie, biorąc pobudkę z pięknego obrazu Stattlera, znanego pod nazwą *Machabeusz*, wyraził poeta życzenie, aby plemienny wpływ matki, jako córki ojczyzny Rafaela, Michała Anioła i Rossiniego, w połączeniu z obywatelsko-chrześcijańskim duchem polskiego artysty, odbił się kiedyś w zdolnościach i natchnieniach ich potomków.

¹⁾ Według Przypomnień Stattlera zaś dopiero 24 czerwca 1830 r.

Winniśmy dodać na tém miejscu, że życzenie to w istocie spełniło się po wielu latach, gdyż synowie Stattlera, obdarzeni niepospolitym talentem, poświęcili się sztukom takim, jak rzeźba, malarstwo i muzyka.

Nazajutrz po tym ślubie — według Przypomnień Stattlera ¹⁾, albo też dopiero 1 lipca, według Odyńca ²⁾, mieli się poeci nasi pożegnać z Rzymem; ale wprzód jeszcze pomodlili się na grobie ks. Parczewskiego, odwiedzili wieczorem Kolosseum i przechodzili umyślnie przez ulicę Mercede, gdzie przed niewielu tygodniami mieszkali państwo Ankwiczowie. Nazajutrz rano odprowadził ich Garczyński aż do bramy del Popolo, poczem, pożegnawszy się z nim serdecznie i ze smutkiem, udali się poeci nasi w drogę — ku Florencji.

Sześć dni, podobnie jak przedtém państwu Ankwiczom, zajęła im ta podróż. Zwiedzili też po drodze te same miejsca, oglądali ten sam wodospad, którego opis znany nam już z listu panny Ewuni.

Nie chcemy opowiadać szczegółowo tej podróży, znaną zapewne wszystkim czytelnikom z pięknych Listów Odyńca, ale mimo to nie możemy pominąć jednego szczegółu. Było to jeszcze w pierwszym dniu podróży, w małym miasteczku Civita Castellana, niedaleko Neapolu, gdzie podróżni nasi zatrzymali się dla odpoczynku i obiadu. Piękna, górzysta i pełna zieloności miejscowość zachęcała do przechadzki. Wyszli tedy obaj poeci i w jakimś uroczym wąwozie usiedli sobie pod drzewem oliwném na murawie. Rozmawiali wesoło, nie zwracając wcale uwagi, że niedaleko tego miejsca

Było wielkie mrówisko. Owad gospodarny
Snuł się w koło po trawie, ruchawy i czarny...

Mrówki, podobnie jak w Świątyni dumania, choć tym razem nie

...zjęcone blaskiem bieluchnej pończoszki,
Wbiegły, gęsto zaczęły łaskotać i kąsać...

Nie było inszej rady, tylko podobnie, jak Telimena w Panu Tadeuszu, trzeba było:

...uciekać, otrząsać,
Nakoniec na murawie sięść i owad łowić...

Scena ta, chociaż nie bardzo przyjemna, zabawiła naszych poetów, a Mickiewiczowi niewątpliwie przypomniła się wówczas i dostarczyła rysów, gdy pisał znany ustęp w czwartej księdze Pana Tadeusza.

¹⁾ Kłosa z r. 1873, str. 246.

²⁾ Listy z podróży, tom IV, str. 145.

Z wrażeń, odniesionych w dalszej do Florencyi podróży, warto zapisać zwiedzenie Assyżu, gdzie Mickiewicz z uwielbieniem mówił o zastągach, pochodzącego ztamąd św. Franciszka, oraz przejazd koła dawnego jeziora trazimeńskiego (zwanego dzisiaj perugijskim), przy której to sposobności poeta nasz, zapewne pod wpływem dość świeżego czytania Liwiusza, szeroko i zajmująco mówił o słynnej na tém miejscu bitwie.

Przybywszy do Florencyi 6 lipca, zabawili tu nasi poeci przez dni cztery, poczem wyjechali do Pizy, a 14 lipca byli już w pysznej Genui (La soperba). Tu spotkali się niespodziewanie z synem Goethego, który w towarzystwie znanego Eckermana, wybrał się w podróż włoską, nie przeczuwając zapewne, że właśnie w sercu téj ziemi, t. j. w Rzymie, zaskoczył go miała śmierć w niedługim czasie, bo w końcu października 1830 r.

Z Genui udali się nasi poeci 18 lipca przez Pawią do Medyolanu, gdzie téż przybyli 20 tego miesiąca. Miasto to znane im prawdziwie było, ale mimoto zwiedzenie pracowni kilku pierwszorzędných artystów, a nadewszystko niespodziewane spotkanie się z Klustinami zajęło im parę dni czasu. Gdyby nie ta ostatnia okoliczność, a oraz i chwilowa słabość Mickiewicza, byłby i on wziął udział w wycieczce do niedaleko ztąd mieszkającego Manzoni'ego, u którego jednakże z wymienionych powodów był tym razem tylko sam Odyniec. Dnia 24 lipca 1830 roku puścili się poeci nasi parowcem przez Lago Maggiore — ku granicom Szwajcaryi.

Tak tedy skończył się dla nich ów dziesięciomiesięczny (od 26 września 1829 r. trwający) pobyt we Włoszech.

Nieraz jeszcze w późniejszym życiu wypadło Mickiewiczowi przez dłuższy czas bawić w téj krainie; ale nigdy już później nie czuł się w niej tak szczęśliwym i swobodnym, jak właśnie za tego pierwszego pobytu.

Urok świeżych i nowych zupełnie wrażeń, towarzystwo tak serdecznego — jak Odyniec — przyjaciela, bliższe poznanie i pokochanie Stefana Garczyńskiego, a wreszcie owa idealna miłość Ewuni, — wszystko to razem wzięte opromieniło mu kilka może najswobodniejszych w całym życiu miesięcy. Poeta pełną czarą pił rozkosz tych wszystkich wrażeń tak, że w przeciągu tego czasu mimo sposobności do nachnień, nie miał wielkiej ochoty do pisania poezyi. Ztąd i zamierzona o Prometeuszu tragedia nie przyszła wcale do skutku, i w ogólności prócz kilku drobnych wierszy, nie przybyło nic więcej do jego teki. I nie można się temu dziwić; poeta bowiem był wierny swemu właśnie w tym czasie wypowiedzianemu zdaniu, że, „gdy człowiek żyje poezyą, szkoda czasu na jej pisanie.”

A poezya ta wtedy za wszech stron wciskała się w głęb jego duszy; była i w jego życiu wewnętrznym, zarówno jak na zewnątrz w jego otoczeniu, w rozrzuconych do koła najpiękniejszych sztuki i natury zjawiskach...

F
8853

